

ROZDZIAŁ 1

2020, Jeziorowskie

– Kurwa! – Odskoczył z takim impetem, że uderzył plecami o ścianę. Osunął się po drewnianych belach na podłogę. Nie mógł się ruszyć; ręce i nogi zrobiły się sztywne, obce, jakby nie jego. Za to w środku dygotał. – Kurwa – powtórzył ciszej.

Co go podkusiło, żeby tu leżeć? „Ludzkie gadanie”, odpowiedział sam sobie. Niby w każdej plotce jest ziarno prawdy, ale tu... Ziemi od cholery, a zamiast tego ziarna...

Z trudem odkleił plecy od ściany. Przekręcił się na kolana i przesunął na środek pomieszczenia. Rękawem bluzy przetarł spocone czoło; poczuł, że pod cienkim lateksem rękawiczek jest wilgoć. Ostrożnie nachylił się nad otworem. Przymykając oczy i powstrzymując odruch wymiotny, zagłębił ręce w ziemi. Raz jeden był na wakacjach nad morzem. Przypominał sobie teraz obsesyjnie ten moment, kiedy najpierw rozkopywał sypki, gorący piach, żeby dotrzeć do wilgotniejszego,

zwartego podłoża, a potem zakopać tam niedużą gumową piłkę. „Słońce, piasek, piłka. Słońce, piasek, piłka. Słońce, piasek...”, powtarzał, jakby wpadł w trans.

Po dziesięciu minutach podniósł się z podłogi i na drżących nogach podszedł do drzwi. Już miał nacisnąć klamkę, ale jeszcze się odwrócił. Spojrzał w głąb korytarza i powoli opuścił wzrok. Wyglądało całkiem dobrze. Z wierzchu.

Prawa dłoń machinalnie powędrowała do czoła, potem przesunęła się na mostek, lewe ramię, prawe ramię i złączyła z uniesioną lewą.

„Amen”, powiedziały bezgłośnie jego usta.

– Kurwa – dodał on sam.

Odwrócił się i wyszedł.

* * *

Sierżant Wiera Jezierska powoli wjechała w gruntową, polną drogę, która łagodnie opadała do jeziora. Sięgnęła ręką na fotel obok po okulary przeciwsłoneczne. Niebo było bezchmurne, słońce, mimo wiosennej pory, mocno przygrzewało. Całkiem miły dzień, nie na komendzie, tylko w terenie. Szkoda za to, że sprawa banalna.

Posterunkowy Remek Staroń przyszedł dziś do niej ze zgłoszeniem kradzieży w Jeziorowskich. Dzwoniła sąsiadka poszkodowanych, którzy na co dzień mieszkają w Warszawie. Ona doglądała ich domu letniskowego. Dziś poszła na spacer-inspekcję i odkryła, że było włamanie.

Sprawa jasna – przed sezonem, pusto, jakiś lokalny złodziej potrzebował fantów, które zastawi w lombardzie albo sprzeda przez jeden z serwisów ogłoszeniowych. Zresztą co można ukraść z domku letniskowego? Stary telewizor, odtwarzacz DVD albo mikrofalówkę. Jakie łupy, taki włamywacz. Jaki włamywacz, taka sprawa. Jeziorowskie – Wiera nigdy tu nie była, a nazwa w naturalny sposób kojarzyła się jej z własnym nazwiskiem. Sztampa i nuda, a raczej policyjna codzienność. Już się miała odrobinę nad sobą poużalać, ale przypomniała sobie o kopercie, którą wyciągnęła ze skrzynki jesienią ubiegłego roku. „Wiera Jezierska”, tylko tyle było tam napisane. Żadnego znaczka, stempla, danych nadawcy. A w środku – dylemat. Nic z tym nie zrobiła, nie podjęła żadnej decyzji. „Niezrobienie niczego to też podjęcie decyzji”, pomyślała. Teraz będzie mogła się wykazać. Solidna, policyjna, niemal pozytywistyczna praca u podstaw, czyli poprawianie statystyk w popularnych obszarach przestępczości. Piękna służba niewinnemu społeczeństwu, które pada ofiarą pospolitych kryminalistów. Wszyscy będą zadowoleni. Cholera... nawet przed sobą wypadła mało przekonująco.

Zauważyła drucianą siatkę ogrodzenia, a za nią młodziak. Dom musiał stać w głębi. Zaparkowała, zjechawszy z kolein w pole. Wyłączyła silnik i wysiadła z radiowozu. Skierowała się w dół, do bramy. Po kilkunastu metrach przystanąła zdumiona.

Jeziorowskie były niedużą wsią z kilkoma obiektami turystycznymi. Zajazd Pod Pstrągiem, Noclegi u Marii – ten

typ swojskiego wczasowania. Zieleń, woda, czerwień poniemieckiej zabudowy. Pensjonaty i kwatery na wynajem wpisywały się w tę stylistykę.

Dom, który właśnie zobaczyła – nie. Spodziewała się czegoś zwyczajnego – drewnianego pudełka z zadaszonym tarasem, trójkąta typu Brda, ewentualnie niedużego mурwanego letniaka. Tymczasem na działce stała chałupa jakby przeniesiona spod Tatr – z grubych bali i z dachem krytym gontem. Błyszczała miodowo na tle wiosennej zieleni.

– Dzień dobry! – W jej stronę ruszyła kobieta, która do tej pory czekała przy budynku. Na oko sześćdziesięcioletnia, żwawa, szczupła. Nie wyglądała na lokalną gospodynię. – Maria Kobza. To ja dzwoniłam ze zgłoszeniem. Właściciele, to znaczy państwo Stykowscy, są teraz w Warszawie.

– Sierżant Wiera Jezierska, komenda policji w Giżyc-ku – przedstawiła się. – A pani jest tutejsza?

– Nie.

Może była przewrażliwiona, ale wydało się jej, że usłyszała w tym „nie” nutę wyższości. Od pierwszego wejrzenia nie polubiła tej kobiety.

– Teraz mieszkam we wsi, wyżej. – Kobza wykonała ruch ręką. – Przeprowadziłam się w tym samym czasie, co Stykowscy. Też jestem z Warszawy. Tyle że ja osiadłam tu na stałe, a oni to letnicy. No ale ja jestem już na emeryturze, a oni wciąż pracują. Pięknie tutaj. Cisza, spokój...

– Dobrze, to co się stało? – Jezierska szła po brukowanej ścieżce w kierunku budynku. Działka była duża, pewnie

z pięć tysięcy metrów, z prawej strony osłonięta młodnia-
kiem, z tyłu było widać wyższe drzewa, a po lewej, w dół,
zejście do jeziora.

Kobza ruszyła za nią.

– Ładna pogoda, więc poszłam na spacer. Dłuższy, bo
ja mieszkam na drugim końcu wsi. Pomyślałam, że przy
okazji zajrzę, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.
Nawet klucze wzięłam, cały komplet. – Kobieta sięgnęła
do kieszeni kurtki i brzdęknęła metalowym zestawem. –
Okazało się jednak, że nie były potrzebne, znaczy tylko ten
do furtki się przydał. – Westchnęła.

Stanęły przed wejściem do budynku.

– Jak w skansenie – mruknęła do siebie Wiera.

Tak, chałupa była ewidentnie góralska. Stara, ale pieczo-
łowicie odnowiona. Wszystko takie schludne, z wyjątkiem
drzwi, na których było widać ślady łomu.

– Słucham?... A, ten dom. Tak. Piękny, prawda? To
znaczy jak ktoś lubi taki styl.

– Od dawna go mają?

– Trzy lata minęły na jesieni.

– Wcześniej były tu jakieś włamania?

– Nie. To spokojne miejsce. Nawet w wakacje. To nie
jest modny kurort, pokus brak.

– A jednak się zdarzyła. – Wiera odwróciła się w jej
stronę. – Więc poszła pani sprawdzić dom i?...

– I otworzyłam furtkę, bo zobaczyłam, że jedna z donic
się przewróciła. – Kobieta spojrzała na stojący przy ścianie

gliniany pojemnik. – To znaczy teraz stoi, bo ją podniosłam, ale jeszcze widać ukruszoną glinę na kamieniach.

– Furtka była zamknięta na klucz, prawda? – zapytała Wiera.

– Tak. – Kobza kiwnęła głową. – W sumie to dziwne. – Nagle się ożywiła. – To jak ten złodziej wszedł?

– Pewnie z tyłu przeciął siatkę. Tam chyba nie ma innej posesji?

– Nie ma. To jedyna ogrodzona i zagospodarowana działka w najbliższej okolicy.

– Więc weszła pani, podniosła donicę, zobaczyła rozwalone drzwi i zadzwoniła na policję?

– Tak. Znaczący prawie tak. Wcześniej zajrzałam do środka, żeby zobaczyć, co się stało.

– Zajrzała pani – powtórzyła Wiera.

Kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Chciałam sprawdzić, czy coś zginęło. Byłam ostrożna, niczego nie dotykałam. Tu zresztą i tak są moje odciski, bo ja przychodzę, żeby przepalić w kominku, włączyć ogrzewanie.

– I zginęło coś? – Wiera znała taki typ świadków. Zwarci, gotowi, poukładani. Nadmiernie zainteresowani.

– Zniknął telewizor, był nieduży, chowany w szafce w pokoju, nowy. Chyba coś ze sprzętów w tej szafce, nie wiem co, nie znam się na tym, widać jednak, że było ruszane, bo kable zwisają. Z kuchni zginął ekspres. W całym domu jest bałagan, takie myszkowanie podczas kradzieży.

Najgorszy w sypialni, ale nie wiem, czy stamtąd coś zginęło, bo tylko patrzyłam.

Tak, to był właśnie ten typ.

– To na razie tyle, dziękuję. – Wiera sięgnęła do kurtki po rękawiczki. Z plaśnięciem wsunęła je na dłonie.

Kobza sprawiała wrażenie zawiedzionej, że nie została zaproszona do środka.

– A, numer do tych... Stykowskich pani ma? – zapytała Jezierska.

– Mam. W telefonie. A telefon w domu. Bo ten, co zabrałam, to męża. Tak, żeby mieć, na wszelki wypadek. I dobrze, bo wypadek się zdarzył. Mój się w domu ładuje. Przejdę się po niego i wrócę. – W głosie słychać było narastającą ekscytację.

Wiera kiwnęła głową. Weszła do budynku. W sieni, zaraz po lewej, były drzwi do innego pomieszczenia. Skręciła tam. Kuchnia. Tak jak cały dom, zrobiona z drewna, tyle że jasnego. Szafki były niepodomykane, szuflady powysuwane, na podłodze zobaczyła jakieś ścierki i zapakowane w folię zmywaki. Z kuchni, na prawo, trafiła do salonu. Tu też dominowało drewno: kredens, półki na książki, pod ścianą, na wprost kanapy – szafka. Otwarta, dwa czarne kable zwisały nad podłogą. Kilka książek leżało na ziemi, pewnie włamywacz je przesunął, sprawdzając, czy nic z nimi nie schowano. Kominiek, nad nim zdjęcie. Przyjrzała się – budynek na fotografii wyglądał bardzo podobnie, choć był w dużo gorszym stanie. Jeśli to ten sam, to ktoś

wykonał świetną robotę. Dalej, znowu na prawo, kolejne pomieszczenie. Wszystkie pokoje były przechodnie, ten, jeśli dobrze się orientowała, wypadał na końcu korytarza. Mniejszy i bez okien. Wymacała włącznik, zapaliła światło. Garderoba. Skotłowane ciuchy na półkach, kilka zrzuconych z wieszaków. Przeszła do następnego pomieszczenia. Sypialnia. Wielkie łóżko, dwie szafki po bokach, pod ścianą kredens. Jedna z szafek była odsunięta. Wiera nachyliła się nad nią. Zauważyła poziomą szparę w drewnie. Odsunęła mebel bardziej. Szpara okazała się wycięta w grubym balu wnęką, do której zamontowano drzwiczki. Zasuwka była otwarta. Cokolwiek się wcześniej znajdowało w tej skrytce, zniknęło. „Ciekawe, co oni tu trzymali”, pomyślała. Dom wyglądał na własność majątnych ludzi, ale przecież nikt rozgarnięty nie przechowywałby kosztowności na działce.

Kolejna para drzwi wyprowadziła ją z powrotem do sieni, dalej od wejścia. Tu też panował półmrok, więc zapaliła światło. Dopiero teraz mogła dokładnie obejrzeć to pomieszczenie. Długie, po jednej stronie był pusty wieszak, po drugiej – ozdobna drewniana skrzynia malowana w ludowy wzór. Podniosła wieko – na dnie leżały dwie pary kapci. Obok skrzyni stały damskie kalosze. W całym domu było czysto, oczywiście nie licząc włamaniowego kipiszu. Tutaj, na podłodze, zauważyła grudki ziemi. Podniosła jeden kalosz – od spodu był tak samo wypucowany, jak z wierzchu. Powędrowała wzrokiem dalej, w głąb korytarza. Więcej

takich rozsypanych grudek leżało na rogu chodnika, którym zaścielono podłogę z desek. Przeszła tam i kucnęła. Delikatnie podniosła pleciony materiał szmaciaka. Z wierzchu był przykurzony, lekko poszarzały, a od spodu – czysty. „Dziwne”, pomyślała. Odsunęła go jeszcze bardziej i zauważyła, że deski pod nim leżą krzywo. Dotknęła jednej – ruszyła się. Po gwoździach pozostały puste otwory. Podobnie wyglądały dwie sąsiednie. Wyciągnęła je i przełożyła na bok. Drobinki ziemi sfrunęły jej na spodnie. Ktoś przed nią, zapewne włamywacz, musiał zrobić to samo, stąd ta brudna podłoga. Na zewnątrz jest sucho, nie padało od tygodnia. „Trzeba dzwonić po Motykę”, pomyślała. Czego włamywacz tu szukał? Kto normalny grzebałby pod podłogą? Poza tym to dziwne, że nie ma betonu. Może to zgodne z dawnymi technikami budowlanymi, skoro chałupa stara? I może włamywacz o tym wiedział? I jeszcze o tym, że warto tutaj zajrzeć? Jeśli tak, to musiało być to ważne i przestępca nie chciał, żeby ktokolwiek zauważył, że majstrował przy deskach. Ułożył je na miejscu i nawet chodnik rozwinął, a wszędzie indziej zostawił bardak. Wiera kucnęła nad otworem. Delikatnie zanurzyła dłoń w ziemi. Była sypka, pyłaca. Musiała zostać niedawno przekopana. Jeszcze raz przesiała ją dłonią. Wyczuła coś – pogiętą metalową rurkę. Delikatnie rozgarnęła ziemię. Jej oczom ukazała się przyrdzewiała kierownica od roweru.

*

– Roweru? – Komisarz Janusz Kosoń, przełożony Wiery, na ostatniej prostej przed emerytalnym zakrętem, lekko się ożywił. Wstał od biurka i wyrztał przez okno. Zapowiadała się całkiem przyjemna wiosna. Jeszcze kilka dni takiego ciepła i Rubert pewnie otworzy nowy sezon działkowy. Trzeba się będzie wybrać za Stare Juhy, do starego komendanta.

– No. Dziwne, nie? Zresztą tu wszystko jest dziwne. Niepasujące. – W głosie sierżant Jezierskiej brzmiała żywsza nuta. Słaba, ale wyczuwalna.

– W jakim sensie niepasujące?

– W takim sensie, szefie, że działka jest nad samym jeziorem, mazurski klimat, że bardziej się nie da, a ten dom to jak ze skansenu w górach. Nie klei się.

– Stary?

– To też. Ale odnowiony, bardzo ładnie. W środku biedy nie ma, wręcz przeciwnie. Syf, bo ktoś zrobił kipisz, poza tym – schludnie i dostatnio. A w sieni, pod deskami, które były teraz ruszane, bo ślady ziemi dokoła, ktoś zakopał rower. Znaczy chyba jest i reszta roweru, Mariusz sprawdzi. O, przyjechali. To na razie, szefie.

– Na razie. – Kosoń wciąż stał przy oknie. Rower. Miał w piwnicy, ale nie jeździł na nim od... nie pamiętał, od kiedy. Trzeba będzie się nim zająć, przecież nie spędzi całej emerytury z Rubertem na jego działce. Inne hobby też trzeba mieć. Rower... Obrócił palcami pudełko zapalek w kieszeni. Co to było z tym rowerem?...

*

– No, nieźle. Odpoczynek w takim letniaku to całkiem przyjemne wakacje. – Mariusz Motyka stanął na ganku zrobionym z dużych otoczaków. – Na biednych nie trafiło, to pewnie i ubezpieczeni. Tylko drzwi szkoda, taka ładna ciesielka.

Wiera pokiwała głową.

– Od czego zaczynamy? – Popatrzył na nią.

– Od lewej. – Pokazała ręką w kierunku kuchni. – A potem dokoła, tu wszystkie pokoje są przechodnie.

– Swojskie rozwiązanie, rodzina na kupie. – Uśmiechnął się. – Idę.

„Rodzina na kupie”. Trafne określenie. Sama mieszkała w takim „przechodniaku”. Internat w szkole wydawał się jej oazą intymności w porównaniu z warunkami w ich domu. Anka lepiej sobie z tym radziła, tak wtedy myślała. Potem, kiedy siostra poszła do zakonu, Wiera uznała, że jednak nie, że Anka się poddała i nie potrafi żyć inaczej niż w zamknięciu i pod czyjąś władzą. Były jak jabłka, które od rodzinnej jabłoni odskoczyły w dwie przeciwne strony.

Otrząsnęła się.

Wyszła przed dom, skręciła w prawo i poszła wzdłuż ściany. Piękne były te drewniane bale. Jak to się wszystko trzymało, bez kilogramów zaprawy i gwoździ. I te połączenia na rogach – tak idealnie spasowane, jakby cięte komputerowo. Zupełnie inne cięcie było na siatce ogrodzenia. Tak,

temu złodziejowi zdecydowanie brakowało finezji – część siatki została odgięta w lewo, część w prawo, wzdłuż topornego przecięcia. Kiedy skończą w domu, Mariusz musi tu przyjść.

– Dobra, chałupka obskoczona, ale nie spodziewaj się zbyt wiele. Odciski są, pewnie właścicieli i na pewno jeszcze jednej osoby...

– Sąsiadki. Wpada tutaj – wtrąciła Wiera.

Motyka kiwnął głową.

– Włamywacz może jest mało subtelny, ale podstawy fachu ma obczajone. To teraz tu? – Spojrzał najpierw w dół, na wystający z ziemi kawałek metalu, a potem na Wierę.

– Tak. Zobacz – te deski zostały wyjęte, koleś przekopywał ziemię, bo trochę rozsypał na boki i nie sprzątnął dokładnie, dlatego zauważyłam. Dokopał się pewnie do czegoś, może coś zabrał, może nie, cholera go wie. W każdym razie kierownicę zostawił, a może i cały rower.

– Myślałem, że nic mnie już nie zdziwi. – Technik nachylił się nad otworem. – Ale po kiego trzymać rower pod podłogą w sieni?...

– Właśnie. Czarna kura, jajko, podkowa, święcone ziele – to rozumiem.

– Rozumiesz? – Motyka spojrział na nią. Był miłym chłopkiem z olsztyńskich bloków.

– Rozumiem siłę ludowego przesądu. – Wiera wzruszyła ramionami. Jej matka odczyniała takie hece, mimo że nie

działały. No chyba że to było w intencji, żeby ojciec umarł, to wtedy tak, w tym przypadku akurat poskutkowało. – Zdobywasz przychyłność dla domu i domowników.

– Rower jest w spisie przedmiotów magicznych? – Motyka znowu się uśmiechnął.

Wiera zauważyła idącą wzdłuż ogrodzenia Marię Kobzę. Wysła jej naprzeciw, zapewne ku jej rozżaleniu, że niczego nie będzie mogła podejrzeć.

– O, jak energicznie pracuje nasza policja. Pani Karolina, znaczy pani Stykowska, będzie zbudowana taką postawą. – Kobieta mówiła to, patrząc na Jezierską, ale co chwilę lekko przekrzywiała głowę, próbując dojrzeć, co się dzieje za uchylonymi drzwiami.

– Taka służba. – Wiera wzięła od niej kartkę ze starannie wykaligrafowanym numerem telefonu. – Powiadomiła ich pani?

– Tak. No, szczęśliwi nie byli, ale mają ubezpieczenie. Tylko ta świadomość, że ktoś obcy myszkował, był, dotykał ich rzeczy...

Wiera poczuła wibrowanie w kieszeni. Wyjęła telefon. „Szef”, zobaczyła na wyświetlaczu.

– Dziękuję. Jakbyśmy czegoś potrzebowali, mamy pani numer. – Odwróciła się od Kobzy i zaczęła powoli iść wyłożoną kamieniami ścieżką. – Tak, szefie? – powiedziała do aparatu.

– Ten rower... Przypomniałem sobie o starej sprawie. Dwa tysiące piętnasty chyba, może trochę wcześniej,

w każdym razie te okolice czasowe. Było zgłoszenie o zaginięciu. Rower i...

– Wiera, mamy tandem! – Jezierska zobaczyła w drzwiach Mariusza Motykę. Ręką dał jej znać, żeby przyszła.

„Tandem?” zdziwiła się. To jak duży jest ten dół?

– ...i facet – ciągnął Kosoń. – Przyjezdny. Zaginęli, wszelki ślad po nich zaginął. Może to zupełnie nie *à propos*, ale mi się przypomniało, jak powiedziałaś o tym rowerze. No i zdaje się, że to było...

Wiera weszła po kamiennych schodach do sieni. Na podłodze leżał rower. Stary, poznaczony rdzą, typowe wiejskie jeźdźdło – rama, dwa koła i sfatygowane siodełko. Pojedyncze. O co Mariuszowi chodziło z tym tandemem?...

Motyka stał nad wykopem i patrzył na Wierę zachęcająco.

Podeszła. Schyliła się. Zobaczyła ludzką czaszkę oblepioną kępkami włosów i fragment brudnego, postrzępionego ubrania.

– Taki tandem. – Technik pokiwał głową.

Wiera podniosła telefon do ucha.

– Jest i facet, szefie – powiedziała.